



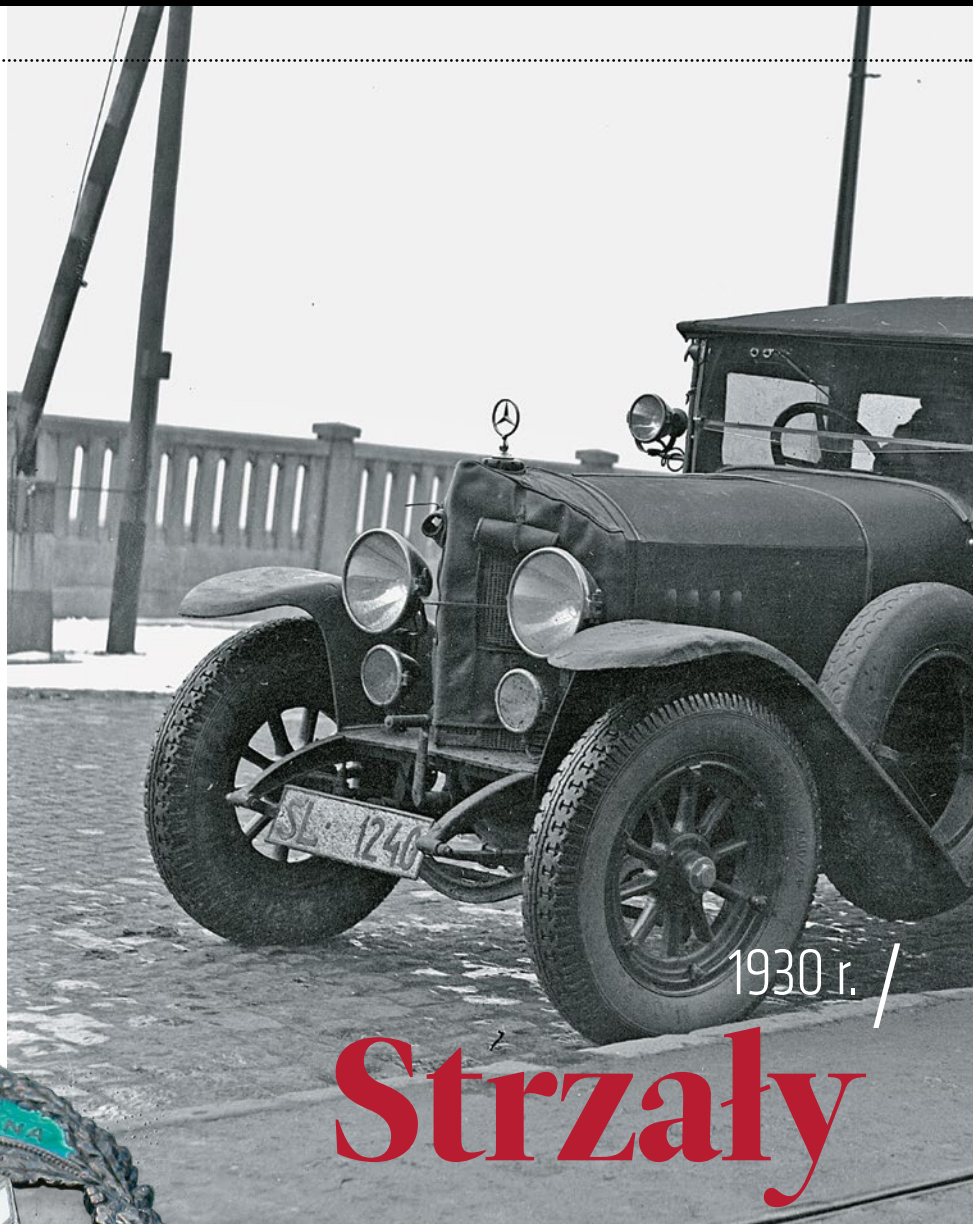
Marian Zacharski

/ Fiasko tajnej operacji komisarza Biedrzyńskiego wywołało otwartą wojnę między wywiadami Polski i Niemiec

Wyobraźnia, inwencja, odwaga – ale pozbawiona przesadnej brawury – szczęście, umiejętność dochwywania tajemnicy, a przede wszystkim wysokie poczucie odpowiedzialności za los agenta. To były, są i będą warunki niezbędne do odniesienia sukcesów w pracy wywiadu przez oficera tej formacji. Brak wspomnianych cech bywa pierwszym zwiastunem zbliżających się kłopotów. Niekiedy z tragicznymi następstwami. Nie wykluczając śmierci.

Właśnie zbyt brawurowa, nonszalancko przeprowadzona operacja komisarza Straży Granicznej Adama Biedrzyńskiego spowodowała tragiczny zgon jego podwładnego, podkomisarza Stanisława Liśkiewicza. O sprawie Biedrzyńskiego napisano już w polskiej literaturze wiele. Zawsze jednak w konkluzji pojawiała się słowo „porwanie”. Jest to niewątpliwie nadużycie, niemające nic wspólnego z prawdą historyczną.

Biedrzyński z Liśkiewiczem zostali zwabieni na terytorium niemieckie obietnicą uzyskania cennych materiałów wywiadowczych. Samą granicę przekroczyli jednak z własnej woli. Mogli swobodnie odmówić. W miejscu spotkania na linii demarkacyjnej znajdowali się w towarzystwie trzeciego funkcjonariusza polskiej Straży Granicznej oraz trzech uzbrojonych w karabiny żołnierzy wypełniających zadanie ich osobistej ochrony.



1930 r. /

Strzały

Po stronie niemieckiej występował jeden funkcjonariusz policji kryminalnej i granicznej – Stullich. Nie może więc być mowy o siłowym porwaniu. Ponieważ dotarłem do oryginalnych dokumentów – zarówno niemieckich, jak i polskich – zaprezentowanie faktycznego przebiegu wydarzeń mogłem z łatwością pozbawić elementów bliższych science fiction niż rzeczywistości.

Sprawa Kowalkowskiego

Gwoli prawdy historycznej należy w tym miejscu wspomnieć, że w walce wywiadów Polski i Niemiec pierwszy

przypadek próby porwania osoby zaangażowanej w tego typu działalność był autorstwa polskiego oficera rtm. Karola Dubicz-Penthera i miał miejsce we wcześniejszych latach 20.

Osobą, którą próbował porwać, był Józef Kowalkowski, który w roku 1921 przyjechał do Wolnego Miasta Gdańska, wynajął pokój hotelowy i rozpoczął działalność na rzecz wywiadu niemieckiego oraz... wywiadu własnego. Nauczony, że wywiady płacą za informacje, intensywnie poszukiwał nabywców, w szerszym niż tylko niemiecki kręgu światka szpiegowskiego skupiającego się w tym czasie w Wolnym Mieście Gdańsku. Dla Polaków Kowalkowski był zdrajcą. Poszukiwali go, by postawić przed sądem.

W okresie wielkiej wojny służył w armii niemieckiej, a po niej wstąpił do Wojska Polskiego. Udając wrogość do Niemców, był – trzeba przyznać – znako-

Kontrola na granicy polsko-niemieckiej w Bytomiu-Łagiewnikach. Odznaka Straży Granicznej FOT. ZBIORY AUTORAI ARCHIWUM



Kulisy wywiadu II RP

na granicy

mitym aktorem. Znalazła się dla niego praca w ekspozyturze polskiego wywiadu w Grudziądzu. Po jej rozwiązaniu z powodu kompletnego nasycenia zdrajcami Kowalkowski pracował w Poznaniu. Też w wywiadzie. Był nawet kierownikiem posterunku oficerskiego. Krótco potem, objuczony polskimi tajnymi dokumentami, przekroczył zieloną granicę i znalazł się w swoim mateczniku – w Rzeszy.

Spowodował wiele poważnych strat, jakie polska służba wywiadu poniosła na kierunku niemieckim. Między innymi do więzienia trafiła czteroosobowa rodzina Mayów – ojciec Franz, matka Hedwig oraz dwóch synów Edmund i Stefan – dostarczająca bardzo rzetelnych informacji ze Szczecina oraz z jego okolic. Rotmistrz Dubicz postanowił działać na własną rękę i sprawić, by Kowalkowski wreszcie stanął przed obliczem polskiego sądu. Wynajął kilka posłusznych i chętnych

do zabawy pańienek, które miały spać delikwenta, dodając mu również do kieliszka sproszkowany środek nasenny. Chrapiącym Kowalkowskiemu miał się zająć osobiście rtm. Dubicz, przewożąc go samochodem ekspozytury przez punkt graniczny w Kolibkach do polskiej Gdyni.

Nie wszystko jednak ułożyło się po myśli pana rotmistrza. Pańienki, owszem, były aktywne, zdrajca zapadł w sen, ale niestety lekki. Zdołał obudzić się tuż po wpełnieniu go przez Dubicza do samochodu. Będąc przekonany, że znajduje się w taksówce, zażądał, aby „taksówkarz”, czyli polski rotmistrz, odwiózł go do wskazanego hotelu. Widząc fiasko swojego przedsięwzięcia, „taksówkarz” Dubicz-Penther... spełnił oczekiwania swojego „klienta”. Czy zażądał opłaty za kurs, tego nie byłem w stanie ustalić na podstawie dostępnych mi dokumentów... Z porwania nic nie wyszło.

Wróćmy jednak do sprawy Biedrzyńskiego. Mający za sobą służbę w armii niemieckiej, po zwolnieniu z niej w grudniu 1918 r., natychmiast włączył się do walki o kształt przyszłych granic Rzeczypospolitej w spontanicznie organizujących się polskich siłach zbrojnych. Brał czynny udział w potyczkach z wojskami niemieckimi w rejonie Poznania. W roku 1919 zorganizował w swoim rodzinnym mieście Wągrowcu kompanię złożoną z Polaków, byłych żołnierzy służących w armii niemieckiej, która pod jego dowództwem, a był wówczas w stopniu plutonowego, pod nazwą pierwszej kompanii weszła w skład 4. Pułku Strzelców Wielkopolskich. Jako dowódca tej kompanii służył głównie na froncie wojny polsko-sowieckiej.

Agent w Szczecinie

Za swoją waleczną postawą 14 września 1920 r. otrzymał, jako pierwszy żołnierz z 4. pułku, najwyższe polskie odznaczenie wojskowe – Order Virtuti Militari. Dekoracji dokonał osobiście marszałek Józef Piłsudski. W maju 1924 r. dostał propozycję pracy w Oddziale II. Przyjął ją bez chwili wahania. Przyszło mu to łatwo, bo – jak twierdził – od zawsze szukał i stabilizacji finansowej, i życia pełnego przygód. Był przekonany, że ta praca mu to zagwarantuje. Dzięki protekcji „dwójki” na początku maja 1924 r. został zatrudniony w MSZ jako kurier dyplomatyczny.

Stacjonował w Wolnym Mieście Gdańsku. W czasie pełnienia swych obowiązków podróżował głównie do Warszawy, ale także, od czasu do czasu, do Berlina, Olsztyna oraz Królewca. Władał biegle językami niemieckim oraz francuskim. Pod koniec maja 1927 r. zrezygnował z pracy kuriera. Został mianowany referentem prasowym przy polskim wicekonsulacie w Szczecinie. Dla polskiego wywiadu Szczecin stał się od pewnego czasu ważnym celem. Nie tylko z tego powodu, że był on siedzibą dowództwa Wehrkreis II i ważnym miastem portowym uczestniczącym w szybkim rozwoju wojskowej współpracy na linii Niemcy – Związek Sowiecki, ale przede wszystkim dlatego, że Polacy weszli w posiadanie informacji świadczących o tym, że niemiecki wywiad na Polskę systematycznie przesuwają tam swoją główną siedzibę operacyjną.

Adam Biedrzyński do Szczecina przybył wraz z małżonką w czerwcu 1927 r. Zamieszkali przy Birkenallee 36 (dziś

Malczewskiego). W strukturze polskiego wywiadu podlegał bezpośrednio Alfredowi Birkenmayerowi z ekspozytury nr 2 w Gdańsku. Ocena centrali co do jego osiągnięć nie była wysoka. Powodem tego była wręcz niebywała, przekraczająca wszelkie dopuszczalne normy gadatliwość. Jeżeli już pozyskał względy danej osoby, to natychmiast musiał o tym wspomnieć innym z kręgu towarzyskiego, w którym się obracał. Po przetrwaniu w Szczecinie roku z dniem 15 maja 1928 r. Biedrzyński ponownie pojawił się w swoim rodzinnym miasteczku Wągrowcu.

1 czerwca 1928 r. wstępuje do, podlegającej Ministerstwu Skarbu, Straży Granicznej i skierowany zostaje do pomorskiego oddziału w charakterze oficera informacyjnego. Miejscem stacjonowania Biedrzyńskiego stał się od tej pory Czernsk, położony, jak dla żądanej podróży oficera, „na końcu świata”. Biedrzyński, wewnątrz głęboko tym zbulwersowany, podjął ciche postanowienie, że swoją pracą, a przede wszystkim jej wynikami, szybko udowodni tym, którzy go nie potrafili należycie docenić, w jak wielkim byli błędzie. Chciał dokonać czegoś spektakularnego, aby kierownictwo „dwojki” wreszcie dostrzegło w nim cechy charakterystyczne dla nieustraszonego, rasowego oficera wywiadu. To było ambitne, ale jednocześnie niebezpieczne postanowienie.

Błąd wywiadowcy

W ślepej pogoni za osiągnięciem błyskawicznego sukcesu zaczął zaniedbywać podstawowe zasady zarówno konspi-

racji, jak i osobistego bezpieczeństwa oraz podległych mu funkcjonariuszy. Od zdrajcy Franciszka Kuliga (podkomisarza Okręgowego Inspektoratu w Czersku) i innych swoich źródeł pracujących w Polsce służby niemieckie doskonale wiedziały o tym, że również komisarz Adam Biedrzyński był osobiście zaangażowany w zbieranie i przesyłanie swoim przełożonym materiałom o charakterze wywiadowczym. Dodatkowo służby niemieckie dysponowały kopiami części korespondencji wymienianej przez Biedrzyńskiego z innymi funkcjonariuszami.

Biedrzyński poszukując źródeł po stronie niemieckiej, postanowił posłużyć się mieszkającym od roku 1921 w Trylu w powiecie świeckim niemieckim rolnikiem Brunonem Fudem. Bruno Fude, urodzony 27 czerwca 1895 r. w Trylu, zanim osiadł na stałe w od niedawna niepodległej Rzeczypospolitej, pracował jako funkcjonariusz niemieckiej Schutzpolizei. Piastował funkcję asystenta kryminalnego w Wydziale Śledczym policji w Malborku. Jako wywiadowca policyjny wyróżniał się dużą inteligencją. Do policji trafił prosto z wojska. Na polecenie Biedrzyńskiego niemiecki rolnik rozpoczął poszukiwanie na terenie Niemiec osobowych źródeł będących w stanie udzielić szybkich odpowiedzi na wiele pytań polskiego wywiadu.

Fude skontaktował się niestety ze swoim starym znajomym, funkcjonariuszem policji niemieckiej Stullichem. Niemcy podjęli grę operacyjną. Celem było wciągnięcie polskiego oficera lub oficerów na teren niemiecki i ich aresztowanie. Chcieli tą drogą spróbować chociaż na jakiś czas powstrzymać agresywną działalność pol-

skiego wywiadu na ich terenie. Przez Brunona Fudego rozpoczęto negocjacje w sprawie ustalenia miejsca spotkania. Decydująca rozmowa odbyła się na linii granicznej w miejscu, którym było rozwidlenie na tamie między Korzeniewem (nieco na południe od tego miasteczka) a Neuhöfen, niedaleko Opalenia.

Ze strony polskiej obecni byli: podkomisarz Stanisław Liśkiewicz oraz jego podwładny Mania. Polacy przedstawili się swoimi prawdziwymi nazwiskami, natomiast Stullich powiedział, że nazywa się Johann Bendig. Rozmowa toczyła się w języku niemieckim. Tłumaczem musiał być Mania, bo podkomisarz słabo znał ten język. Pomimo że pracował na kierunku niemieckim, językiem, który znał naprawdę biegle, był rosyjski. Dziwne uplasowanie, ale z faktami nie dyskutujemy. Stullich był tym, który rozpoczął wymianę poglądów. Już na wstępie oświadczył, że gotowy jest dostarczyć najnowszy model maski przeciwgazowej oraz inne materiały zgodne z życzeniami strony polskiej.

– Proponuję, żeby to sfinalizować w ciągu następnych kilku dni. Nie mogę bez końca siedzieć na „gorącym towarze”. Przechowuję zdobyte materiały i cały czas drzę, żeby nie nastąpiła jakaś przypadkowa wpadka.

Fiasko operacji

Po krótkiej dyskusji Stullich uzgodnił z Liśkiewiczem, że przekazanie zgromadzonych materiałów nastąpi w sobotę, 24 maja 1930 r., o godz. 21 w budynku niemieckiej kontroli paszportowej w Neuhöfen.

– Czy pana zdaniem budynek kontroli paszportowej jest miejscem gwarantującym nam wszystkim bezpieczeństwo? – zapytał Liśkiewicz.

– Zdecydowanie tak. Może się pan nie obawiać. Jak pan wie, w porze wieczornej nie prowadzimy odpraw, stąd też, poza nami, nie będzie nikogo w tym budynku – oświadczył Stullich.

W trakcie rozmowy partnerzy uzgodnili warunki finansowe. Liśkiewicz przystał na wypłatę 2,5 tys. marek za najnowszy model maski przeciwgazowej oraz 50 tys. marek za pozostałe materiały. Wymienione kwoty miały zostać wypłacone Stullichowi natychmiast po przekazaniu przez niego maski oraz dokumentacji.

W sobotę w godzinach wczesnopopołudniowych, przygotowując się do od-



Budynek niemieckiej kontroli granicznej, na którym widać ślady kul. FOT. ZBIORY AUTORA

bioru materiałów po stronie niemieckiej, podkomisarz Liśkiewicz wysłał dwóch swoich podkomendnych, Manię oraz Tórza, na drugą stronę Wisły, w okolicy granicy, dokładnie naprzeciwko budynku kontroli paszportowej w Neuhöfen. Mieli z niewielkiej odległości obserwować wszystkie zabudowania, a także tereny odkryte, położone przy nowym wale wiślanym. Liśkiewicz spotkał się z Biedrzyńskim wieczorem w Rakowcu. Obaj byli bardzo spięci, ale pełni nadziei na odniesienie dużego sukcesu operacyjnego. Około godz. 21.30, ubezpieczani przez trzech uzbrojonych w karabiny żołnierzy Straży Granicznej, ruszyli w kierunku Opalenia [niem. Münsterwalde] i Korzeniewa nad Wisłą.

Komisarz Adam Biedrzyński ubrany był po cywilnemu, natomiast podkomisarz Stanisław Liśkiewicz za mundur narzucił cywilny płaszcz. Na głowie czapkę wojskową zastąpił kapelusz. Żaden z nich nie dysponował przepustką upoważniającą do przekraczania granicy. Zabrali za to ze sobą pistolety produkcji czeskiej kalibru 9 mm, a Liśkiewicz dodatkowo uzbroił się w jeden granat ręczny o kształcie jajowatym. Przewidzianych prawem upoważnień władz niemieckich do noszenia broni na terenie Rzeszy nie posiadali.

Po dotarciu do Wisły Biedrzyński oraz Liśkiewicz, w towarzystwie podążających nieco z tyłu trzech żołnierzy, idąc wąskim pasem polskiego terytorium, kierowali się ku ulicy Celnej łączącej Opalen z Neuhöfen. W tym miejscu Wisła swoją wschodnią zatoczką otulała granicę polsko-niemiecką.

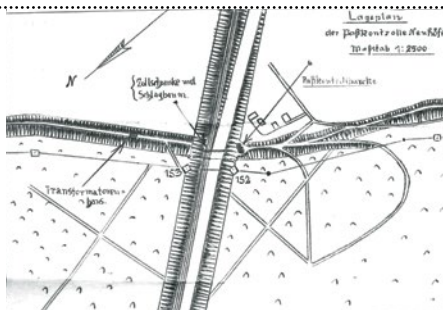
Po stronie niemieckiej też nie próżnowano. Dowódca operacji Hartmann w kilku słowach objaśnił członkom grupy operacyjnej podstawowe założenia ich misji:

– Będziemy mieli do czynienia z ważnymi oficerami. Naszym celem jest ich aresztowanie. Bez względu na rozwój wydarzeń oni w żadnym wypadku nie mogą nam umknąć. Ich miejscem jest ława oskarżonych w naszym sądzie. Działalnością przeciwko naszym interesom w pełni na to zasłużyli.

– Czy sądzi pan, że będą uzbrojeni? – zapytał Sender.

– Nie jestem tego pewien, ale na wszelki wypadek należy zakładać, że tak.

Na punkcie granicznym jako pierwszy pojawił się Stullich, „Bendig”. Nikogo nie zastał. Przez dłuższą chwilę cierpliwie czekał. Minutę lub dwie po godz. 21.30 zauważył, że do żołnierza pełniącego wartę



Plan sytuacyjny miejsca, w którym rozegrały się opisywane w artykule wydarzenia. FOT. ZBIORY AUTORA

przy słupie granicznym 153 zbliżyło się dwóch umundurowanych polskich funkcjonariuszy. Wydało mu się, że jednym z nich był Tórz. Nie mylił się.

– Bendig! – zawołał Tórz.

– Jestem!

– Chciałbym, abyś podszedł bliżej mnie. Ja jestem tuż przy linii granicznej.

Po chwili Stullich stał naprzeciwko Tórza. Byli o centymetry oddaleni od słupa granicznego 153.

– Czy masz przygotowane wszystkie materiały? – zapytał Polak.

– Tak, mogę potwierdzić, że mam.

– Gdzie je masz?

– Znajdują się one już w budynku kontroli paszportowej. A poza tym to od kilku minut czekuję na tych, z którymi się umawiałem – odparł Stullich nieco obrażony brakiem punktualności. Wypowiedział te słowa, chociaż kątem oka widział już dwóch osobników stojących na szczycie wału.

– Oni już tutaj są.

– Jak mówisz „oni”, to znaczy kto? – zapytał Niemiec.

– Komisarze z Czerska i Rakowca. Zaczekaj chwilę, zaraz ich do ciebie przyprawdę...

Po zejściu się Niemiec w pierwszej kolejności uściślił dłoń podkomisarza Liśkiewicza, którego już zdążył poznać. Witając się z drugą osobą, nie dowiedział się, jak się nazywa. Adam Biedrzyński przedstawił się jedynie jako „komisarz z Czerska”.

– Czy wszystko jest w porządku? – zapytał Biedrzyński.

– Jak najbardziej – odparł niemiecki sekretarz kryminalny.

– W takim razie pan pójdzie przodem, a my będziemy podążać w pewnej odległości za panem.

– Ależ proszę się niczego nie obawiać. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Powinniście pójść natychmiast razem ze mną. Podejźmy tylko kilka kroków w kierunku bariery celnej, przejdziemy wał i w ten sposób szybko dotrzemy do budynku kontroli paszportowej. Idąc

taką trasą, będziemy mieli barierę celną zawsze po naszej prawej stronie – zakończył swoją wypowiedź Stullich-„Bendig”.

– A jakie to ma znaczenie, po której stronie będzie bariera? – zapytał Biedrzyński.

– Po prostu w trakcie przemarszu będziecie zawsze bardzo blisko linii granicznej. To powinno dać wam większe poczucie bezpieczeństwa.

Odpowiedź Stullicha, dodatkowo wygłoszona wysoce uspokajającym głosem, nadspodziewanie szybko przekonała naszych komisarzy do jego propozycji. Postanowili, już bez dalszych targów, udać się razem ze Stullichem do uzgodnionego wcześniej miejsca spotkania...

W krótkim czasie po stronie niemieckiej rozegrały się dramatyczne wydarzenia. Rutynowe spotkanie przerodziło się w niekontrolowaną wymianę ognia. Podkomisarz Stanisław Liśkiewicz został ciężko ranny. Pomimo operacji po kilkunastu godzinach zmarł w szpitalu niemieckim. Jeden z niemieckich funkcjonariuszy policji, Sender, został ranny, ale przeżył. Komisarz Adam Biedrzyński znalazł się w niemieckim więzieniu, by po kilku miesiącach stanąć przed obliczem wymiaru sprawiedliwości, który wymierzył mu karę wieloletniego więzienia.

Wydarzenie to wywołało otwartą wojnę między organizacjami wywiadowczymi Polski i Niemiec. Po stronie polskiej prym w tym pojedynku wiodł kapitan Jan Żychoń. W krótkim czasie organa polskiego kontrwywiadu aresztowały, mniej lub bardziej winnych, trzech oficerów niemieckich: Preissa, Koppenatscha oraz Notznego. Żychoń postępował bezparadonowo. Walcząc o doprowadzenie do wymiany Biedrzyńskiego, nie liczył się nie tylko z kwestią winy lub jej braku, ale także z literą prawa. Jedyne, co miało dla niego znaczenie, to zdobycie wartościowego „materiału ludzkiego” na wymianę. Biedrzyński rzeczywiście wkrótce powrócił w ramach wymiany więźniów. •

Historia nieudanej akcji komisarsza Biedrzyńskiego to jedna z dziewięciu opowieści o polsko-niemieckich potyczkach na tajnym froncie, które składają się na najnowszą książkę gen. Mariana Zacharskiego.



MARIAN ZACHARSKI
„KRWAWIĄCA GRANICA”
ZYSK I S-KA